

L. Ciechanowiecka

# Biali i Czarni

Gdyby Jerzy Giżycki \*) urodził się pięćset lat temu, toby pewnością odkrył jakąś Amerykę, albo zostałby władcą dalekiej wyspy. Jest śmiały, przedsiębiorczy, inteligentny i — za ciasno mu jest na świecie. Ten urodzony koczownik włóczy się już od lat po obcych krajach, był kolejno, gold-diggerem, trapperem w Alasce, cowboyem w Meksyku, kręcił filmy w Afryce (Krzysztof Kolumb w dwudziestym wieku robiłby to samo). Podpatrywał okiem obiektywu dziwy dżungli i dziewiczych lasów, a w wolnych chwilach notował reporterskim watermanem swoje wrażenia. Powstała dzięki temu znakomita powieść podróżnicza.

Czyta się ją, jak to mówią, „jednym tchem”. Chwilami odnosi się wrażenie, że oglądamy barwny film afrykański, nie mający zresztą nic wspólnego z fałszem nemi „Made in Hollywood”, filmami w rodzaju „Afryka mówi” czy „Trader Horn”.

Giżycki jest dziwakiem — mówi prawdę. To nie przystoi myślowym i podróżnikom. To się nie oplaca. Książki, zawierające mocną dozę blagi, rozchodzą się, jak groszowe bułki. A taki Giżycki nie mówi, że trafiał każdego krokodyla w lewe oko na odległość kilometra, że jeździł na lwie i że ludożercy odgryźli mu łydkę. Na jego kampanie nie spadały z baobabów chryże pantery i dziesięciometrowe pytony, ani razu nie znajdujemy w jego pamiętniku opisu w rodzaju tego, który przed kilku laty pojawił się w „Gazecie Kalskiej”. Była tam mowa o wędrownym przez puszcze, pełną czerwonych mrówek

...„straszliwych owadów właściwych tym puszczołom, których potężne szczypce ostre są jak brzytwy, a żarłoczność nie zna mary. Potwory te zagryzały dosłownie żywcem biednego podróżnika i maszerowały obok niego dwoma kolumnami z których jedna rzucała się na rany, a druga obłaziła i zakrawiona powracała do mrowiska”.

Nie — Giżycki maszeruje przez dżunglę, puszcze, brusze i pustynie saharyjską (od Bamako, Bobo - Dioulasso, Wuagadugu aż do Timbaktu) z fantazją i nieco wyniosłym uśmiechem. Ten sympatyczny Polak, zagubiony w ponurej dżungli, stykający się z murzynami, których i tutaj dosięgła drapieżna łapa kapitalisty europejskiego, ani na chwilę nie ulega fatalnemu wpływowi tropikalnego klimatu, nie traci jasnego sądu, chyba tylko wtedy, gdy mowa o... misjach. Ale o tem potem. Nie dajmy mu rady ani febra, która nim trzęsie, ani mikrob „ka fardu”, pod którego wpływem „biali” marnieją i stacają się na dno upodlenia. Nie przestaje go razić niechlujstwo i rozluźnienie obyczajów, cechujące „kolo-

\*) J. Giżycki: „Biali i Czarni” Gebethner i Wolff.

nialów” — uczciwie i śmiało zabiera głos w obronie czarnych, ilekroć widzi, że się ich prześladowuje.

„To gratka nielada — sam mówi w jednym z rozdziałów — biali, który nie przychodzi zbierać podatków, braci rekruta, lub nacinać ramiona dla jakichś niepojętych, a więc podejrzanych praktyk szczyptenia, lecz człowiek strzelby, który, kto wie, może da murzynowi kawał upragnionego mięsa”.

Więc go lubią — i Krumeni, i Peulhowie i Tuaregowie...

Krokodyle, na jego widok, rzuciły się w nurt wodny, szympansy waliły się w piersi, niby w tamtamy; ploszył pan Giżycki hipopotamy i wielkie jaszczury i uciekał je na taśmie filmu, nie zwracając uwagi na czającą się śmierć, niepomny na ostrzeżenia wernych boyów, którzy wkońcu uwierzyli, że biali musi mieć potężne grigri, skoro wychodzi obronną ręką z każdej opresji. A nieraz znajdował się w opatach nielada — tylko, że mówi o tem z takim sansfiszizmem, że trzeba przez chwilę pomyśleć, aby się zorientować, że dokonał niezwykłego wyczynu, wobec którego błędna wszelkie sportowe sztuki. Dziwne musiały przeżywać emocje bestie, zamieszkujące dżunglę, gdy rozlegało się monotonne terkotanie aparatu filmowego, podobne do głosu wielkiego świerszcza.

Najwięcej jednak niepokoju wywołał p. Giżycki wśród białych potępieńców, przebywających w piekle Gwinei, Wielkiej Wolty i Sudanu. Cóż to za galeria typów, ci traderzy i administratorzy, którzy opisuje Giżycki, obserwator bystry i bezlitosny. Ten doktor Thomas, zwarjowany filatelista, który po to tylko przybył do Wuagadugu, żeby łatwiej zdobywać marki kolonialne, nawiasem mówiąc, drukowane we Francji; ten stary Spratts dla swej chudości zwany „Extra Dry”, fanatyczny plantator bawelny z Arizony; Mo skalski, kierownik firmy rządowej, walący najahem murzynów i nazywający swoją fermę bluffem, albo ów sierżant Teller, który, jak większość „kolo-nialów” z Francji rodem, marzy w bruzie afrykańskiej o emeryturze, która pozwoli mu spełnić marzenie o małym domku koło Chalons, o codziennych partycjach belotte w Cafe de la gare i poiwaniu na skowronki z lusterkiem. Dwa tylko kacykowie, zresztą ich widziani — Huchard i Rocca przypominają postaci z gatunku Laperrinów, pozatem Giżycki pokazuje nam stado arriwistów „panków”, opasłych burzujących kacyków, marzących o emeryturze, demaskuje panie „kacykowe” — tancerki z tingel tanglów i cyrkówki, jest nieublagany dla typów biurokratów, dostrzeż-

każda plamę na afrykańskim niebie. Chwilami sam jest o to zły na siebie — „co to za przekleństwo usposobienie — widzieć w ludziach głównie ich wady i śmiech ności, ich drobne manje i ambi-cje, jakże rozumiem Barresa, gdy ten się skarży na trapiący go całe życie głód wyższych, niecodziennych jednostek”...

Otóż to...

Gdyby pan Giżycki z tą samą bystrością dostrzegał przejawy bohaterstwa, szlachetności, ofiarności, gdyby zechciał również baczyć przyglądać się murzynom, a choćby niechętnym przez niego misjonarzom, toby może spotkał na swej drodze niejednego „nadczołwieka”. Tymczasem jakby umyślnie stara się on nie zwracać uwagi na ludzi, którzy w dalekich Afrykach ratują honor „białych”. Gdzie Biali ojcowie i Białe siostry? Wspomina o nich p. Giżycki przelotnie, jakby z nieśmakiem, nie odróżniając misjonarza protestanckiego od katolika, chociaż to gruba pomyłka. Czemże bowiem różni się misjonarz metodysta czy baptysta od zwykłego komiwojażera... Jeden jedyny misjonarz Breton i to melancholijny sceptyk, a pozatem zbiegowski awanturnik, do-robkiewiczów, rosyjskich straceńców, doktorów niemających poje-

cia o medycynie, administratorów nie mających pojęcia o administracji, kobiet, z których ani jedna nie zajmuje się losem czarnych, chyba tylko wtedy, gdy jej wypadnie w oko muskularny boy, z afrykańskim temperamentem... Nie wspomina p. Giżycki ani słowem o takich „nadrudziach”, jak ojciec Markiewicz, który w roku 1909 umarł, jak święty w Kongu, gdzie przez kilkadziesiąt lat pielęgnował chorych na śpiączkę, ani o ojcu Bezymym, opiekunie trędowatych z Madagaskaru, o ojcu Ryłło, dobrodziejcu Sudanu, o leprozerjach, przytułkach dla starców, ambulatoriach i ochronkach, w których dostaje się nie tylko „trochę nauki katechizmu i dużo poleceń” — jak informowała p. Giżyckiego konkubinka pewnego tradera, była wychowanka misyjnej szkoły.

Autor nie jest obiektywny i dlatego książka jego nie pozostawia pełnego zadowolenia, czego jej nie dostaje, jest świetnie, żywo, inteligentnie napisana, ale pesymizm autora rzuca na nią cień zbyt gęsty, aby nie był sztucznym. Wstręt Giżyckiego do sparciałych Europejczyków, kompromitujących aryjską rasę w oczach ludożerców jest zrozumiały, ale gniew autora zwraca się głównie przeciwko admini-

stratorom, a tutaj powinno się grzmieć i piorunować na kapitalistów, którzy w owej Afryce poczynają sobie, jak fantastyczny krwiopijca z broszurek komunistycznych. Wampirizm wyniszczającym egzotyczne kraje jest komiwojażer, wobec którego nawet kacyk w mundurze niewiele znaczy, gdyż wpływy komiwojażera sięgają centrali w Paryżu i paraliżują każde uczciwe zarządzenie.

André Gide w swej głośniejszej książce „Le retour du Tchad” rzucił anatémę na molocho kapitalizmu, zwanego w Afryce kompaniami leśnymi — „Compagnies Concessionnaires”. Eksploatują one dawny niemiecki Kamerun. Podobno w porównaniu z tem co się dzieje w Kamerunie (dzisiejszym francuskim Kongo) stosunki w Sudanie francuskim są idealne. Jeszcze w roku 1928-ym kompania francuska „Du Haut Congo” posiadała monopol handlowy w kraju obejmującym około sześciu milionów hektarów. Zdaniem Gide'a, gdy kiedyś odejdzie, to „pozostawi kraj wycieńszony do ostatniej kropli krwi, a tubylców nędzniejszych aniżeli przed przybyciem białych”. W związku z pojawieniem się książki i artykułów Gide'a w „Revue de Paris”, rozpętała się na łamach prasy francuskiej polemika. Gide cytował fakty znecania się nad murzynami, masowych masakr, głodzenia niewolników używanych do trzebieżenia lasów i budowania dróg, po których raz na miesiąc jeździ auto dyrektora kompanii. Chłosta, więzienie, przymusowe chodzenie w kieracie, z belką na ramionach — to były fakty powszednie... Klęcił się z Gidem dyrektor kompanii Weber, ale nie zdołał obronić honoru wielkich koncesyj, prowadzących rabunkową gospodarkę w koloniach afrykańskich. Krytykowani przez Giżyckiego administratorzy i gubernatorzy od lat alarmują władze centralne o szkodliwości reżymu, który okazał się fatalny dla przyszłości Afryki Ekwatorialnej. Grzechem Francji jest to, że patrzy przez palce na wyczyny drapieżnego komiwojażera. Nikt jednak nie zaprzeczy, że obok „rekinów” są w Afryce i anioły. Tymczasem Giżycki pomija albo bagatelizuje działalność tych białych, którzy są antytezą — korsarzy i tyranów.

O marnych biurokratach z Wybrzeża Kości Słoniowej, z Gwinei i Wolty rozpisuje się J. Giżycki bez końca, zato tylko parę stron poświęca krytycznym zresztą uwagom o misjonarzach, ma za złe przeorowi, że jest opasły, a świętego ojca Foucauld, brata maluczkiego, patrona Sahary, nazywa krótko francuskim

agentem politycznym, którego za bili milijacy niezależność Tuaregowie.

To nie wypada. Gdy się jest tak sumiennym, prawdziwym podróżnikiem, piętnującym każdą nieuczciwość i ubolewającym, że nie widzi nigdzie jednostek wybitnych — nie wypada zbyć lekceważącym zdaniem działalność „nadczołwieka”, który walczył z bezprawiem, wykupywał murzynów z niewoli, głosił hasła chrześcijańskiego miłosierdzia i uczył białych, że należy podbić kolonie dobrotą. Pozatem p. Giżycki popełnia nieścisłość.

Nie Tuaregowie zabili O. Foucauld, którego uważali za swego dobrodzieja, ale banda zbiorów Senussistów, pod wodzą tureckiego oficera przekupionego przez Niemców. Był przed 3 laty w Tamanrasset — gdzie O. Foucauld zginął śmiercią męczeńską — widziałam się z Tuaregami, którzy pamiętają niezwykłego misjonarza, rozmawiałam z Ukse-mem krewnym amenokala, a przy-jacielem O. Foucauld — pamięć o dobroczyńcy nędzarzy nie wy-gasła w Hogarze. Tuaregowie i Arabowie uważają go za jedynego przedstawiciela białych, któremu należy się cześć niemal boga.

Dziwna rzecz, że p. Giżycki nie spotkał Białych Sióstr w Bamako, w Wuagadugu, ani w Bobo Dioulasso, gdzie ofiarne zakonnice mówią po naszymu, marnują młodość i zdrowie, opiekując się „dzikusami”, których trapią ohydne tropikalne choroby, wychowują dzieci, wspomagają nędzarzy, nie gardzą trędowatymi. Nie spotkał tam widocznie „Mających służebnie Nędzarzy”, rekrutujących się spośród byłych wychowanków, które wraz z siostrami okazują pomoc ubogim i nieszczęśliwym. Czemuż to p. Giżycki cytuje tylko nieprzychylną dla misjonarzy literaturę, gdy mógłby zacytować kilka faktów, które „mówią za siebie”. Cóż znaczą kosztowne uwagi byłego tradera i pisarza Monfreida, o bardzo podejrzanym przeszłości, albo angikańskiego misjonarza, a więc wroga katolików — Frazera, wobec tych tysięcy uratowanych od śmierci głodowej nędzarzy, tych starców, którzy znajdują w szpitalach i przytułkach opiekę i pomoc, tych wychowywanych przez misjonarzy dzieci murzynskich, które zostały porzucone przez matki, skazane na całodzienną mordęgę w faktorjach komiwojażerów.

Jedna leprozerja, w której rolę samarytanek pełnią misjonarki — wymownie świadczy o tem, czem są misje dla Afryki, aniżeli wolne wnioski turystów i kupców, przejeżdżających obok takiej leprozerji — galopem.

## Z nauki i sztuki

### Literatura

— Na warszłacie pisarzy. Jan Wiktor kończy nową powieść. Będą to dzieje dwojga dzieci w domu i szkole na tle życia i obyczajów górali szczawnickich. Marjan Piechał napisał studjum o Norwidzie p. t. „Żywa Ura”. (b.)

— Pisarze zagraniczni na wszechrosyjskim zjeździe literackim. Pomędy pisarzami zagranicznymi, zaproszonymi przez Sowietów na wszechrosyjski zjazd pisarzy znajdują się następujący autorzy: T. Dreiser, J. Dos Passos, Upt. Sinclair, H. Mann, L. Feuchtwanger, E. Kisch, R. Rolland, An. Malvaux, B. Shaw, Stef. Zweig. Niema co — dobór aż nadto charakterystyczny. (b.)

— Obchód ku czci Orzeszkowej w Grodnie. Grodno obchodziło uroczyste 24 rocznicę zgonu Orzeszkowej. Teatr miejski wystawił przeróbkę sceniczną z „Nad Niemnem”, p. t. „Legenda o Bohatrowiczach”. (b.)

— „Jeremiasz” Stef. Zweiga. Teatr de l'Ambigu, w Paryżu, wystawia „Jeremiasza” — tragedję Stef. Zweiga. Autor przybędzie na premierę. (b.)

— Pomnik Loti'ego na Tahiti. W Papete, na Tahiti, będzie wzniesiono w dniu 14 lipca wielki pomnik

ku czci Piotra Loti, głośniego autora powieści egzotycznych. (b.)

### Teatr

— Nowe sztuki polskie. Teatr kameralny Iwo Galla w Częstochowie wystawił sztukę Jerzego Zawieyskiego p. t. „Człowiek jest niepotrzebny”. Zawieyski w sztuce, którą zadebiutował na scenie, spróbował poprowadzić niejako dalszy ciąg głośniego utworu Żeromskiego „Uciekla mi przepióreczka...”. (b.)

— Sztuka Szaniawskiego w Londynie. Londyński teatr eksperymentalny wystawił w tłumaczeniu Ruth Allen sztukę Jerzego Szaniawskiego „Adwokat i róża”. (b.)

### Muzyka

— Opera Respighi'ego w Paryżu. Znany kompozytor włoski, Respighi, przybywa do Paryża, ażeby poprowadzić orkiestrę na premierze swej opery „Marja Egipcjanka” w Operze Komicznej. (b.)

### Różne

— Dzieło o wyprawie „Czeluski-na”. Zapowiadane jest ukazanie się równocześnie w kilku językach obszernego dzieła odtwarzającego dzieje wyprawy „Czeluski-na”. Nad redakcją tego zbiorowego wydawnictwa czuwa Tretjakow. (b.)

ny... Po dłuższym szukaniu sprowadzono majstra. Zaczął dukać w zamku, naraz:

— Pierony! Nowitkie dluo ukrychło się!

Kto mu za to zwróci? Kowal zaczął się żalić, że od pół roku pieniędzy nie widział, i oświadczył, że nie otworzy innej, niż w obecności pana dyrektora, bo potem nikt mu nie zapłaci za narzędzia, a „on ostanie głupi siedzieć”. Wtedy pan Szypluka wrócił do kasy, oświadczaając, że musi przeczekać cały budynek, bo pan dyrektor — wiadomo — zawsze się ukrywa w pokoju przed komornikami.

Chwila była groźna: kasjerka ledwie zdolała ostrzec dyrektora, pan Sikora tylko zdążył zamknąć drzwi na klucz i pobięgnąć naokoło do łazienki, rozbrając się i pusić przyszenie, gdy rozległo się pukanie do drzwi:

— Panie dyrektorze — w imię prawa...

Na to drzwi otwarły się szeroko i ukazała się barezysta obrońnią postać w adamowym stroju, ociekająca wodą, a potężna łapa podsunęła pod nos pana Szypluki jakiś papier.

— Patrz pon!

Była to „umowa służbowa”. Punkt 11-ty, podkreślony czerwonym ołówkiem, opiewał: „Panu Sikorze przysługuje prawo używania łazienki w budynku administracyjnym oraz

wanny raz na tydzień, w dniu dowolnie wybranym”.

— Ja się kąpię, to stoi w moim kontraktcie — rzezał rozsierdzony golas, — nie pozwól, żeby mi ale jeden przeszkodził się kąpać, ja sobie takie coś mogę gładko wyprosić, nawet choćby mi sam dziesięć kazał, to ja nie potrzebuję z wanny wychodzić!

I zatrzasnął drzwi przed nosem zdumionego komornika.

W chwilę później stanęła przed kasą otwarta takśówka, a w niej dwóch ludzi w skórzanym kurtkach. Byli to pan Blaszanka, prokurent firmy Zjednoczone Grajarki, oraz pan Zastawnik, adwokat z miasteczka, który z polecenia kolegi z Poznania podjął się asystować egzekucji. Obaj od dwóch godzin czekali w Smardzewicach, dręczeni najgorszymi obawami i wzajemną nieufnością. Adwokat dostał sto złotych zaliczek, a miał obiecać drugie tyle, ale dopiero, gdy przetarg dojdzie do skutku, co było bardzo wątpliwe, bo z Głodową Wólką nigdy nie wiadzieli, na czym się skończy. Prokurent niedowierzał na groźb adwokatowi, bał się mianowicie, by ten nie opuścił go, rezygnując nabyto z reszty honorarium, na to, by później o nie się dopominać. Ale i adwokat przekonywał był, że chce go wystrychnąć na dadka; wyobrażał sobie, że dla oszczędzenia stu złotych prokurent gotów jest odstąpić od egzekucji;

postanowił też nie opuszczać na krok pana Blaszanki, by ten nie uciekł z uzyskanymi z przetargu pieniędzmi, bez uregulowania go. Nad wszystkim zaś unosiła się obawa, że Ubezpieczalnia Krajowa zjawi się w ostatniej chwili i przyłączy do licytacji.

Wypadki potwierdzały najgorsze przewidywania. Przedewszystkiem traktor, zajęty w Smardzewicach, nie znajdował się tam, ale na sąsiednim folwarku, niyto dla naprawy. Była to naturalnie sztuczka tego przekłętego Sikory. Posłano komornika po maszynę. Nadeszła dziesiąta, nieliczni kupcy zaczęli się niecierpliwić, a traktor ani widu, ani słychu. Wreszcie pojechali obaj do Wólki, żeby przyspieszyć akcję. To, co zobaczyli, napędziło ich oburzeniem. Ten mazgaj Szypluka od dwóch godzin daje się za nos wodzić, i nie otworzył jeszcze garażu!

— Jeżeli za dziesięć minut kłez się nie znajdzie, otwieramy drzwi przemocy — oświadczył prokurent kasjerce.

Po chwili obaj szoferzy, zbrojni w łomy i inne żelastwo, natarli nr szope; w drugiej linii szedł prokurent z łeczką; zamykał orszak adwokat z kodeksem postępowania egzekucyjnego w ręku. Otwarcie drzwi i wypchnięcie traktora nadwór było dziełem jednej chwili. Pozostawało przeciwnie zdobyć na miejsce przetargu.

Tu jednak wyłoniły się nowe trudności. Licytacja była wyznaczona na dziesiątą, a teraz dochodzi jedenaśta; nim maszyna stanie w Smardzewicach, będzie południe, i nikogo z kupujących się nie zastanie. Poza-tem pan Szypluka na dziś szereg innych spraw w terenie, i wszystkie następne godziny zajęte... Licytację dzisiejszą można od biedy prowadzić od rana do wieczora; potem jednak trzeba by ogłosić nowy termin. Po dłuższych naradach komornik dał się uprosić: przetarg odbędzie się dziś o godz. 18-iej w Smardzewicach; jako jedyni nabywcy stanie firma Zjednoczone Grajarki. Co do traktora, to nie można go zostawić na łasce pana Sikory. Po krótkiej naradzie i rozmaitych próbach linuzyka komornika ruszyła przodem; za nią posuwała się takśówka pana Blaszanki, a na końcu przywiązany na lina-czechu, z głuchem dudnieniem toczył się zdobyty traktor. Cała ta karawana wysunęła się z podwórza i ku zdumieniu mieszkańców wioski, sunęła powoli i z hałasem szosą do Smardzewic.

— Traktor przepaść, garaż rozbiły... — lamentowała panna Emma na widok pana Sikory, wchodzącego do kasy.

— Nie jeszcze nie przepaść! Licytacja im przypada na przedpołudnie, ot co! Pamiętaj pani moje słowa: ino przeciągnąć! ino przeciągnąć! A to co znowu?

Pytanie odnosiło się do czarnego, błyszczącego świeżym lakierem landoletu, który wysunął się zza parkanu i zajeżdżał przed kasę. Kasjerka wyjrzała:

— To z Urzędu Skarbowego.

Do kasy wszedł elegancki pan, ubrany w śliczne skrojony granatowy mundur ze złotymi wylogami i taką samą czapkę z daszkiem: kasjerce przypomniał, jako żywo kapitana Jachtu z filmu, oglądanego przed miesiącem. Widać było, że w hierarchji egzekutorów zajmują stanowisko nuczne — ani go porównać z niezdamym Szypluką. Szybko wyłożył cel wizyty. Gruntowy, dochodowy, majątkowy, karne procenty za zwłokę, koszty: upomnień, zajęć, przetargów; pozatem z ramienia samorządu dodatki komunalne do powyższych podatków państwowych i znów od nich te same procenty i koszty; pozatem z ramienia ubezpieczeń społecznych Kasa Chorych, ubezpieczenie pracowników umysłowych, ubezpieczenie od wypadków w rolnictwie, ubezpieczenie od gradu, ubezpieczenie od ognia i jeszcze raz koszty i odsetki — wszystko razem punktualnie obliczone na 22 349,80 złotych.

— Na powyższą sumę mam dokonać zajęcia — zakończył. — Pozatem w sprawie Ubezpieczalni Krajowej — pretensja uprzywilejowana, — mam przyłączyć się do dzisiejszej licytacji traktora.

Pan Sikora odpowiedział, że przecież stóg wymłócony, spichrze puste, więc niema co zajmować; co do traktora, to właśnie przed chwilą komornik sądowy zabrał go stąd do Smardzewic. Ale pan Rozdzielnik — tak brzmiało nazwisko egzekutora — nie dał się zbić z tropu. Oświadczył, że od dziś wolno zajmować zboże na pniu — już tylko 4 tygodnie dzieł nas od żniw, więc on ma zamiar dokonać zajęcia pól. Co do traktora, to powinien on znajdować się na miejscu, zaschodzi tu wypadek rolniczego usunięcia przedmiotu zajętego, za który pan Sikora będzie osobiście odpowiedzialny (tu zaszytował paragrafy, kilka tysięcy złotych kary i kilka lat więzienia). Zakończył żądając, by go zawieziono na pola.

Pan Sikora nie był przygotowany na to i zdawało się, że tym razem stracił głowę. Machinalnie wydatł rozkaz, by zajeżdżała bryczka. Musi objechać majątek z egzekutorem.

Właśnie zadzwoniono na południe, gdy wpadł zmieszany praktykant:

— Panie dyrektorze, wszyscy ludzie przed kasą... mówią, że pan dyrektor kazał im przyjść na południe po pieniądze... włodarze stoją w sieni.

Ale pan Sikora miał już dosyć tego wszystkiego.

— A niech idą sobie do domu... niech strajkują... niech to wszystko (Dalszy ciąg na następnej stronie)